

Mistrzowski antykryminał [Marcin Świetlicki, *Dwanaście*, Kraków 2006]

„Prawdziwy bohater powinien być samotny”¹, mówi partnerka mistrza, bohatera *Dwanaście*, po czym konsekwentnie go porzuca, jakby świadoma opowieści, która właśnie się rozpoczęła. I rzeczywiście, kilka stron dalej opuszcza go nawet ukochana suka, mistrz zostaje zupełnie sam, tak, że nie ma wyjścia, musi wziąć na swoje barki rolę protagonisty. Ale nie oznacza to wcale, że jest, jak pan Dupin (pierwotwór wszystkich detektywów stworzony przez E.A. Poe) intelektualistą i gentelmanem. Albo że, jak to w prawdziwej powieści kryminalnej bywa, ogarnia to, co się dookoła dzieje, a od jego instynktu zawodowego i poczynań uzależniony jest rozwój wydarzeń. Wręcz przeciwnie, ta historia toczy się sama, związki przyczynowo-skutkowe mają znaczenie drugorzędne, a mistrz znajduje się w niej zupełnie przypadkiem, jakby wepchnięty w jej tryby na siłę bez możliwości wyboru. Ten „antycybohater”², jak nazywa go narrator, przez ponad dwustustronicową powieść ani razu nie je. Natomiast cały czas pije. Mało tego, nie ma dowodu osobistego, pracy, konta w banku, samochodu, czyli tych wszystkich rzeczy, które dla większości ludzi są podstawą egzystencji. Nawet komórki nigdy nie używał. Owszem, większość czasu mistrz spędza w Biurze, ale bynajmniej nie chodzi tu o miejsce pracy, ale o bar prowadzony przez znajomego, w którym wolno mu pić na kreczę bez ograniczeń. Co robi mistrz, gdy po pewnej długiej nocy odzyskuje świadomość, leżąc w łóżku obok bliskiej towarzyski swojego kolegi od kieliszka? Po cichu i pospiesznie ubiera się i wychodzi. Problem pojawia się w drodze do domu, gdy okazuje się, że opuścił lokal... w damskich spodniach. Mimo tego, gdy zjawia się potencjalna zleceniodawczyni, ze śmiertelną powagą rzecze: „sto złotych dziennie plus koszty”³. Wszak ma doświadczenie. Detektywem, owszem, kiedyś już był! Jako młody chłopiec grał w serialu dla dzieci *Mały mistrz na tropie* i na pamiątkę po tym traumatycznym, jak wspomina, przeżyciu, zachował nawet prawdziwy pistolet (który odegra niemałą rolę w całej intrydze). Ten telewizyjny epizod z przeszłości sprawia, że mistrz jest jedną z turystycznych atrakcji Krakowa, przy czym wszyscy jak pacierz powtarzają, że „użył, spuchł i posiwił”⁴. Słuchacz i obserwator może i z niego nie nazbyt uważny (wiadomo, wcięż pijany...), rejestruje jednak najważniejsze dookolne zjawiska. A że akcja obejmuje dwanaście miesięcy roku 2005, czytelnik otrzymuje kronikę niedawnych wydarzeń, które odbijają się w powieści, niczym w krzywym zwierciadle.

Przebijający całe swoje życie i z premedytacją sytuujący się na marginesie mistrz prowadzi na myśl pokolenie amerykańskich beatników. Z tą różnicą, że dla *Boroughsa*, *Ginsberga* czy *Kerouaca* włóczenie się po knajpach było świadomym wyborem, buntem wobec powojennych Stanów Zjednoczonych z ich wszechobecnym kultem pracy i sukcesu, terro-

¹ M. Świetlicki, *Dwanaście*, Kraków 2006, s. 5.

² *Ibidem*, s. 69.

³ *Ibidem*, s. 15.

⁴ *Ibidem*, s. 9.

rem moralnym i politycznym epoki Mccarthy'ego. A mistrz? Mistrz nie tylko w intrygę uwikłany został przypadkiem – on jakby przypadkiem znalazł się w życiu. Jego zachowania nawet buntem nie można nazwać, bo – aby się buntować – trzeba w czymś czynnie egzystować. Mistrz wydaje się być z innej bajki, tak dalece nie pasuje do otaczającego go świata. I właśnie dlatego jego postać daje doskonały pretekst do wyśmiania reguł rządzących życiem. Obraz rzeczywistości zawarty w tej książce jest tak ostry i trafny przede wszystkim dzięki pełnemu ironii humorowi, z jakim przedstawia ją autor. To, z jednej strony, humor pijacki, który sączy samotnie wódkę przy stole i nieporadnym, rozmytym wzrokiem naiwnie obserwuje rzeczywistość, nie wiedząc do końca, co tu jest prawdą, a co pijacką utudą, bo wszystko wydaje się jednakowo absurdalne. Kraków to miasto, po którym przewijają się jedynie turyści cykający zdjęcia i pracownicy telewizji. W okolicach drugiego kwietnia wszyscy nagle zaczynają być dla siebie mili, jedynie mistrz ma poważny dylemat, ponieważ jeszcze nie pozbył się choinki bożonarodzeniowej, a przecież nie wystawi jej teraz na ulicę, w momencie gdy wszyscy pędzą zapalić żałobną świecę... W karykaturalnym świetle postawione tutaj zostają nie tylko wydarzenia wielkiej wagi, jak właśnie śmierć Papieża, kampania przedelektoralna (afera Cimoszewicza), wynik wyborów czy zamachy w Londynie, ale także sprawy małe, ulotne, które jednak niezaprzeczalnie wpisują się do kroniki roku 2005:

„Bo jak pierwszy raz to zobaczyłem, to nie uwierzyłem. Owszem pijany byłem, ale nie aż tak, pomyślałem sobie: no to już zaczynam naprawdę wariować. (...) No szła dziewczyna i trzymała przed sobą smycz, a na smyczy był niewidzialny pies. Mówiła do niego i tak dalej”⁵.

Ten humor to, z drugiej strony, ironiczny stosunek bohatera do świata, gdy na wszelkie opowieści, które u przeciętnego człowieka powinny wzbudzić podziw, odpowiada kpiarskim „Hohoho!”⁶. To także przezabawna autoironia mistrza. Bohater puszcza oko nie tylko do czytelnika, sam na siebie także patrzy ze sporym dystansem. To, wreszcie, humor widoczny na płaszczyźnie języka, kiedy autor zdaje się przyglądać temu, co pisze, i niejako parodiować własne sformułowania: „Przez Rynek przechodzili pracownicy telewizji TVN, pracownicy radia RMF, a także pracownicy innych prac”⁷. To język naiwny, chwilami nieporadny i dziecinny. W takich momentach sam pisarz zerka na swoje dzieło oczami mistrza. Ale zdarzają się też chwile, kiedy to bohater wydaje się świadomy opowieści, w której uczestniczy, gdy przemawia przez niego autor. „To nie jest historia o alkoholu!”⁸ – protestuje zniechęcony w jednej z rozmów, jakby dawał wskazówkę mniej domyślnemu czytelnikowi. Widząc dwóch przytulających się mężczyzn, wydaje z siebie entuzjastyczne „Hurrra!”, bo wreszcie ma „motyw gejowski w tej historii”⁹, czyli, innymi słowy, poczytność powieści gwarantowana. Powiedzieć, że postać mistrza jest wybitną kpiną z konwencji gatunku, to zdecydowanie za mało. Sylwetka bohatera *Dwanaście* to nie tylko żart mający na celu dekonstrukcję powieści kryminalnej, to przede wszystkim drwina z codziennego życia, z zasad, które nim rządzą. Ironia tak kipi z tej książki, że nie ogranicza się do fabuły, ale przenika

także do płaszczyzny językowej i metaliterackiej. Wszystko zostaje tutaj niejako zarażone osobowością głównego bohatera.

Ponoć R. Chandler, zapytany kiedyś przez W. Faulknera o rozwiązanie jednej z jego powieści (*Kto zabił?*), odpowiedział: „Nie wiem”. Powieści tego amerykańskiego klasyka gatunku słynęły bowiem z zawilej fabuły. Dokładnie to samo o *Dwanaście* mógłby powiedzieć Świetlicki, bo czytelnik gubi się już w pierwszych rozdziałach. Z tym drobnym wyjątkiem, że jego książkę tak naprawdę trudno nazwać powieścią detektywistyczną. Kryminał jest gatunkiem o bardzo przejrzystych zasadach i, co za tym idzie, dość łatwo poddaje się dekonstrukcji. Dlatego też doskonale nadaje się do zakwestionowania pewnych wartości bądź ukazania ich rozkładu, co zostało wykorzystane zwłaszcza w dobie postmodernizmu. W latach osiemdziesiątych próby zburzenia konwencji podjął się Paul Auster w trzech słynnych historiach znanych jako *Trylogia Nowojorska*. Jego opierające się prawom logiki, łamiące niekiedy podstawowe zasady realizmu opowieści, urywające się nagle i pozbawione rozwiązań zagadki (bez czego trudno mówić o powieści kryminalnej) miały na celu odzwierciedlenie zagubienia jednostki we współczesnym świecie, który bynajmniej do logicznych, zamkniętych całości się nie zalicza. Świetlicki zapewne wiedział, że jeśli jego powieść ma ukazywać absurdalność tej planety, to sama na takim absurdzie musi się opierać. Dlatego zdecydowanie odradzam ją czytelnikom, którzy oczekują porządnej intrygi detektywistycznej. Owszem, wciąga i trzyma w napięciu niesamowicie, ale tylko dlatego, że jest tak absurdalna, że nie sposób przewidzieć, co wydarzy się w następnym akapicie. To nawet nie postmodernistyczna gra z czytelnikiem w stylu Johna Fowlesa, który na każdej stronie swojej powieści obwieszczał czytelnikowi rozwiązanie zagadki, by na każdej następnej oświadczyć, że jednak było zupełnie inaczej. *Dwanaście* bardzo szybko rozwiewa złudzenia co do tego, że stanowi historię wiarygodną. Czytając ją, należy prędko zarzucić jakiegokolwiek próby przewidywania dalszego rozwoju wydarzeń i nie oczekiwać, że koniec wszystko wyjaśni, a już na pewno nie łudzić się, że będzie przekonujący. Wtedy można drwić tak, jak drwi ta powieść: z siebie, z czytelnika, z autora, no i ze świata, na którym nie pozostawia suchej nitki. „Nie wiem” Świetlickiego nie odnosiłoby się tutaj do nieoczekiwanych zwrotów akcji czy zaskakującego zakończenia. Raczej potwierdzałoby fakt, że w tej opowieści nic nie jest na poważnie.

I nagle, niepozornie, nie roszcząc sobie pretensji do wielkiej literatury, w serii *Polska Kolekcja Kryminalna*, a więc w kolekcji gatunku uznawanego powszechnie za drugorzędny, pojawiła się na rynku powieść będąca ostrym, wyrazistym portretem rzeczywistości. Powieść, w której ta rzeczywistość odgrywa rolę nie mniejszą niż osoba głównego bohatera, a z pewnością większą niż wątek kryminalny. I tym sposobem okazało się, że można współczesny świat uchwycić, skrytykować, sportretować jego bezsensy, wytknąć przywary, nie uciekając się do skomplikowanych lingwistycznych eksperymentów. Mało tego, do opisanego rzeczywistości roku 2005 wystarczy zwykły, tradycyjny szyk zdania. I nie trzeba topić prozy w masie niepotrzebnych wulgaryzmów przyprawionych antyestetycznymi opisami odrażających sytuacji, stylizując to wszystko na pseudo-bunt pseudo-wyobcowanego bohatera. I nie chcę tutaj wypaść na purystkę literacką, która heroicznie walczy o to, aby to, co brzydkie, do literatury nie miało wstępu. Usiłuję jedynie wykazać, że

⁵ Ibidem, s. 72.

⁶ Ibidem, s. 38.

⁷ Ibidem, s. 34.

⁸ Ibidem, s. 136.

⁹ Ibidem, s. 179.

tw. brudny realizm, owszem, jest w literaturze zjawiskiem ważnym, ale bardzo szybko się wyczerpuje i przestaje nieść jakikolwiek sens. Dowodzę, że zamiast reagować po raz kolejny na świat z agresją, wystarczy po mistrzowsku skwitować wszystko ironicznym „Hoho!”¹⁰. Nie traci się przy tym poczucia dobrego smaku, a i efekt jest o wiele bardziej przekonujący.

Dwanaście to powieść, jakiej brakowało polskiej literaturze. Na każdej stronie zaskakuje a to dowcipnym sformułowaniem, a to trafnym komentarzem na temat codzienności. Jedynie, nad czym można by ubolewać, to fakt, że ten komentarz jest ulotny. Bo o ile nawiązania do wielkich spraw będą zrozumiałe jeszcze przez długi czas, o tyle wiele z opisanych epizodów może szybko ulec dezaktualizacji (na przykład reklama piwa). Mistrz ze swoim specyficznym spojrzeniem na świat czy charakterystycznym zwracaniem się do wszystkich na „pan/pani” ma wszelkie predyspozycje ku temu, by stać się postacią kultową. Dlaczego więc *Dwanaście* nie przez wszystkich odbierane jest entuzjastycznie? Paradoksalnie, nadmierna popularność mogłaby zaszkodzić powieści, uczynić z niej element tej rzeczywistości, której tak mocno dostaje się w „kryminale”. Dlatego najlepiej, gdyby mistrz pozostał jednak trochę na uboczu, będąc mimo tego jednym z najbardziej spostrzegawczych obserwatorów życia ostatnich lat. A Świetlicki niech pisze więcej prozy!



Justyna Kościelna rysunek nr 1

¹⁰ Ibidem, s. 15.